

Roman Kowal

Oaza wolności

Z opozycją związałem się w zasadzie dosyć przypadkowo. W momencie, kiedy nastąpił stan wojenny, uznałem, że trzeba coś zrobić, w jakiś sposób się sprzeciwić. Byłem młody, niewiele mi było trzeba.

Przez jakąś znajomość nawiązałem odpowiednie kontakty i kilka dni po ogłoszeniu stanu wojennego zacząłem organizować na własną rękę taką minidziałalność opozycyjną. Całkiem na wariata. Po prostu ogłosiłem w akademiku „Arka” Akademii Rolniczej, że kto chce, może nawiązać ze mną kontakt i możemy roznosić ulotki. Przez kilka miesięcy to się udawało, jednak na początku kwietnia 1982 roku przyszło dwóch panów ze Służby Bezpieczeństwa...

Znaleźli trochę bezdebitowych wydawnictw. No i zawieźli mnie do aresztu. Po kilku dniach przebywania w brudnej celi i na bardzo kiepskim wikcie przewieźli mnie, wraz z kilkunastoma innymi osobami, do Nysy. Tam zostałem internowany.

Mieszkaliśmy w kilkuosobowych celach. Dostaliśmy do ubrania więzienne rzeczy. Raz w tygodniu można się było wykąpać. Jedzenie było marne, ale nie można się temu dziwić, ponieważ w ogóle społeczeństwo w owym czasie marnie się odżywiało. Stopniowo wywalczaliśmy sobie jednak coraz większe przestrzenie, nazwijmy to, wolności. Z czasem można już było na przykład wyjść na spacer na całe przedpołudnie, nie trzeba było przebywać w ubiorach więziennych, na widzeniach można było otrzymywać coraz większe paczki od rodziny... Tego typu rzeczy.

Chyba najbardziej dokuczliwe było, że musieliśmy coś z tym czasem zrobić. Spało się osiem, dziewięć czy dziesięć godzin, a potem trzeba było ten czas jakoś wypełnić. Nie można było wiecznie grać w szachy, warcaby, dyskutować... No, można tak robić przez dzień, dwa, trzy... Ale przez kilka miesięcy? Wychodziło to już porządnie bokiem. Ta beczyność zachodziła za skórę. Jednym mniej, drugim bardziej.

Dość szybko zauważyłem, że w ośrodku odosobnienia dzieją się różne ciekawe rzeczy. Na przykład pan, który był plastykiem, wycinał z podłogowego

linoleum linoryt, który był później odbijany. Do tego potrzebowaliśmy przemycaną z zewnątrz farby i wałka. Wałek na początku był zwykłym słoikiem z zamieszczoną dętką motorowerową. I drukowało się tego typu rzeczy, które były później rozchwytywane przez rodziny i znajomych na zewnątrz. Staraliśmy się stworzyć taką oazę wolności. Chyba można powiedzieć, że czuliśmy się bardziej wolni w ośrodku odosobnienia, niż na zewnątrz.

Mniej więcej po trzech miesiącach zostałem przewieziony do Grodkowa. Od razu zorientowałem się, że wywalczone tam są dużo lepsze warunki. Przede wszystkim koledzy zapychali zamki cel różnego rodzaju śrubkami, gwoździami i wieczorem klawisz nie mógł nas zamknąć, bo się nie dało. Również spacernik był tam otwarty przez cały dzień. Koledzy internowani pocięli też siatkę ogradzającą natryski, aby móc z nich korzystać bez ograniczeń. Obowiązywał między nami a służbą więzienną taki kompromis: oni nie widzą, że ta dziura jest, a my nie upominamy się o to, żeby furtka do natrysków była zawsze otwarta.

Internowani byli kolegami, przyjaciółmi. Staraliśmy się sobie pomagać w różnych sprawach. Jeżeli komuś czegoś brakowało, to natychmiast to otrzymywał. Ja na przykład paliłem papierosy. W pewnym momencie mi zabrakło. Poszedłem do kolegi i otrzymałem kilka paczek. I tak dwa czy trzy razy.

W październiku, po sześciu miesiącach, zostałem zwolniony. Z jednej strony internowanie miało dla mnie negatywne konsekwencje, będąc jedną z przyczyn mojej choroby. Ale z drugiej właśnie to, że mogłem odczuć tą atmosferę wolności, odczuć tą satysfakcję, radość z tego, że stawiam jakiś opór, czy sprzeciwiam się wraz z innymi tej niedemokratycznej władzy, że mogłem drukować te ulotki... Jakoś się to podświadomie wyczuwało, że robimy dobrze i że tak trzeba, tak należy.